

Niepodległość [FELIETON]

Europejskie decyzje nie są wcale podejmowane „poza nami”, choć przewaga niemiecko-francuska bywa oczywiście irytująca dla niemal wszystkich członków Unii. Owszem, są podejmowane z naszym udziałem, tyle tylko, że ilekroć kwestia zahacza o nową paneuropejską ideologię, konserwatywne rządy Polski i Węgier pozostają na nieliczącym się marginesie, jako wyraziciele europejskiej kontrkultury – pisze Jan Rokita w nowym felietonie w ramach cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

„Grozi nam naprawdę utrata niepodległości i mówię to całkiem poważnie”. Trudno nie zauważyć takich słów i trudno je zbagatelizować, skoro padają z ust wybitnego profesora filozofii, tłumacza Platona i biografy Sokratesa, a zarazem byłego ministra i pierwszoplanowego polityka rządzącej prawicy. Ryszard Legutko – to nie jakiś pierwszy z brzegu europoseł, który sroce wypadł spod ogona, więc gada bądź co, co mu tylko ślina i uczucia na język przyniosą. Ale – jak niesie tajemnica poliszynela – jeden z nielicznych polityków/intelektualistów oddziałujących na sposób myślenia o świecie przywódcy rządzącej prawicy. Ów pogląd o grożącej Polsce NAPRAWDĘ utracie niepodległości Legutko wypowiada z przekonaniem dwukrotnie, w toku wywiadu udzielonego red. Annie Wiejak. Po czym dopowiada jeszcze, iż jego zdaniem już za chwilę w Unii Europejskiej: „wszelkie decyzje będą podejmowane poza nami, a nasza rola będzie tylko taka, żeby to popierać”. Polityczny kontekst tych ocen jest jasny i dobrze znany. Idzie o precedensowe wyroki

europiejskich sądów przeciw polskiej reformie wymiaru sprawiedliwości, tzw. „zasadę warunkowości” budżetu unijnego, oraz sankcje pieniężne, spadające na samorzady, które przyjęły swego czasu uchwały potępiające idee libertyńskie.

Każda postać politycznej integracji ma swoją panującą ideologię, która ma służyć jej legitymizacji. Polityczny uniwersalizm nie broni się bowiem sam w sobie. Zawsze musi być po coś, gdyż owo „coś” uzasadnia dopiero sens politycznego wysiłku przełamywania partykularnych barier, likwidowania naturalnych plemiennych uprzedzeń, wreszcie – konstruowania ponadnarodowego porządku instytucjonalnego. Dlatego właśnie, jeśli rzucić okiem na nowożytne dzieje integracji europejskiej, łatwo zauważyć, że polityczne postępy uniwersalizmu niosły ze sobą zawsze liczne „nowinki” ideologiczne, często wywołujące abominację po stronie konserwatystów. Europa zjednoczona na początku XVI wieku pod berłem Karola V Habsburga forsowała na przykład na całym swym obszarze rewolucyjną na tamte czasy ideę publiczno-prawnego procesu karnego i zniesienia pieniężnych kar kompozycyjnych za zbrodnie, co skutkowało drastycznym wzrostem represyjności prawa (tzw. Carolina). Trzy wieki później, w imię Europy zjednoczonej przez Napoleona, zaprowadzano wszędzie – od Warszawy po Madryt – światoburczą instytucję ślubów cywilnych, wywracającą do góry nogami dotychczasowy europejski model rodziny (kodeks Napoleona). To oczywiście tylko pojedyncze przykłady, które mają tu służyć jako historyczne poparcie tezy, iż w nowożytnej Europie nie było nigdy politycznej integracji bez forsowanej paneuropejskiej ideologii, mającej odmieniać panujące wcześniej formy zbiorowego życia.

*W nowożytnej Europie nie
było nigdy politycznej
integracji bez forsowanej
paneuropejskiej ideologii,
mającej odmieniać panujące
wcześniej formy zbiorowego
życia*

Tak jest i obecnie.
Dopóki jednak
powojenna
integracja
europejskiej Szóstki,
a potem Dwunastki,
była lekka i dotyczyła
niemal wyłącznie
budowania
wspólnego rynku, za

europejską ideologię wystarczała obietnica trwałego pokoju i wyeliminowania groźnego niemieckiego nacjonalizmu. Ale Polska włączyła się do procesu integracji właśnie w chwili, w której traktatami z Maastricht i Lizbony zaczęto wznosić gmach unii, z ambicją stworzenia całkiem nowego paneuropejskiego porządku politycznego. Ta ambicja musiała w krótkim czasie wytworzyć zręby nowej paneuropejskiej ideologii. Chyba nie dało się w roku 2004 przewidzieć, jakie idee wybiją się na czoło politycznego projektu integracji. Siedemnaście lat później wiemy, że owa paneuropejska doktryna – to amalgamat znanych z postępowych katedr akademickich konceptów „demokracji jurysdykcyjnej”, „głębokiej ekologii” i „gender ideology” – czyli nowoczesnej wersji starego libertynizmu. To oczywiste, że taka ideologiczna triada, jako źródło legitymizacji nowej jedności Europy, jest niemożliwa do przyjęcia, nawet dla umiarkowanego europejskiego konserwatysty.

Istota dzisiejszego problemu tkwi w tym, że to właśnie ów projekt ideologiczny stał się teraz źródłem niekończących się kłopotów państw, w których władzę obejmują konserwatyści, nie akceptujący tej nowej europejskiej triady idei fundamentalnych. Tutaj tkwi także źródło

polskich kłopotów z Brukselą. Dlatego Legutko myli się, lokując sedno owych kłopotów w rzekomym traceniu niepodległości. Niepodległości nie tracimy, bo sami zabiegaliśmy o to, aby zostać włączonymi w proces integracji, sami wiedzieliśmy, że oznacza to dzielenie się suwerennością z szeregiem instytucji paneuropejskich (w tym z sądami). I co najważniejsze: w każdej chwili sami możemy wyskoczyć z tego pociągu, jeśli uznamy, że kierunek jego torów aż tak drastycznie rozminął się z naszymi oczekiwaniami. Ściśle mówiąc: nie ma żadnych przeszkód, aby rząd PiS rozpoczął procedurę opuszczania Unii przez Polskę, jeśli tylko uznawałby to za najlepsze dla kraju rozwiązanie. Na tym właśnie polega istota niepodległości w ramach Unii. Wbrew temu co mówi Legutko, europejskie decyzje nie są wcale podejmowane „poza nami”, choć – jak każdy wie – przewaga niemiecko-francuska bywa oczywiście irytująca dla niemal wszystkich członków Unii. Owszem, są podejmowane z naszym udziałem, tyle tylko, że ilekroć kwestia zahacza o nową paneuropejską ideologię, konserwatywne rządy Polski i Węgier pozostają na nieliczącym się marginesie, jako wyraziciele europejskiej kontrkultury.

Narzekanie w mediach na groźbę utraty niepodległości jest zresztą w ogóle zajęciem nieproduktywnym tak dla filozofa, jak i dla polityka. Wydaje się, że rolą konserwatywnego filozofa powinna być dziś twórcza praca nad krytyką rozpychającej się ideologii i budowanie dla niej idei alternatywnych, które na przyszłość mogłyby stać się doktrynalnym motorem integracji. Podobnie nieproduktywne jest samo kontestowanie integracji, jeśli z powodów politycznych nie zamierza się korzystać z prawa do wycofania się z niej w każdej chwili. Europa, jeśli ma nie zginąć w chińsko-amerykańskim globalnym konflikcie, potrzebuje jak tlenu własnego „euro-universalizmu”, tyle że z innym zestawem idei, które go miałyby uprawomocnić. Mówiąc obrazowo: za jakiś czas na czele Unii winien stanąć paneuropejski Trump (może w

trochę lepszym personalnym wydaniu), który by procesowi integracyjnemu nadał inny wektor ideowy. Że to możliwe, rzecz jasna – nie tak z dnia na dzień, tego dowodzą zarówno zdarzenia amerykańskie, jak i ideowe przemiany zachodzące w samej Europie. Konserwatywny polityk w dzisiejszej Unii powinien być raczej pragmatycznym apostołem takiej przemiany, zamiast Stańczykiem załamującym ręce nad polską niepodległością.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

